

Kategoria: Wywiady

Opublikowano: środa, 18, luty 2026 09:02

Joanna Gryboś-Chechelska

Odłony: 1562

O tym, jak sport kształtuje liderów, czego lekkoatletyka uczy w zarządzaniu publicznym i dlaczego brydż to gra, która wciąż stawia opór sztucznej inteligencji, rozmawiamy z Zygmuntem Worsą, Wicestarostą Świdnickim.

Przez lata pełnił Pan funkcje starosty i wicestarosty, a jednocześnie kocha Pan sport. Jak w praktyce łączy się odpowiedzialność za sprawy publiczne z pasją, która wymaga systematyczności, dyscypliny i emocjonalnego zaangażowania?

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, muszę krótko przedstawić historię mojego funkcjonowania w samorządzie i sporcie. Może to zabrzmieć nieco patetycznie, ale pozwoli zrozumieć kontekst. Do samorządu trafiłem w 1994 roku jako radny gminy Żarów, w której mieszkam do dziś. W 1998 roku zostałem wybrany do rady powiatu i w pierwszej kadencji pełniłem funkcję wiceprzewodniczącego Rady Powiatu Świdnickiego. W drugiej kadencji, w latach 2002-2006, byłem wicestarostą. Następnie w kadencjach 2006-2010 oraz 2010-2014 pełniłem funkcję starosty. Od 2014 roku do dziś, już trzecią kadencję, jestem wicestarostą. Jeśli chodzi o sport - można powiedzieć, że mam go we krwi. Mój ojciec był kibicem, mama zdecydowanie mniej. Ogromny wpływ miał jednak nauczyciel i dyrektor szkoły podstawowej, do której uczęszczałem. To on nauczył mnie wielu rzeczy - od jazdy na łyżwach po organizację szkolnych zawodów sportowych.

W szkole średniej uprawiałem sport amatorsko - głównie biegi i piłkę nożną. W wieku 17 lat, z powodu kontuzji, nie mogłem kontynuować gry, więc zająłem się sędziowaniem. Przez 16 lat byłem sędzią piłkarskim - prowadziłem mecze w niższych ligach, okręgowce, czasem jako sędzia liniowy w trzeciej czy drugiej lidze. W 1991 roku, po pracy w ośrodku wychowawczym dla młodzieży, trafiłem do szkoły podstawowej. W tym czasie zauważyłem, że moja córka dobrze biega. Zainspirowany jej predyspozycjami, jako pedagog szkolny rozpocząłem pracę z dziećmi i młodzieżą. W 1991 roku założyłem klub lekkoatletyczny i odsunąłem się od piłki nożnej. Klub prowadziłem praktycznie do 2007 roku.

W pewnym momencie, gdy zostałem wicestarostą, a później starostą, pogodzenie ról prezesa i trenera stało się trudne, dlatego poprosiłem kolegę o przejęcie obowiązków. Lata pracy w lekkoatletyce zaowocowały później działalnością w strukturach sportowych. Przez 16 lat, w latach 2004-2020, byłem przewodniczącym komisji rewizyjnej Polskiego Związku Lekkiej Atletyki. Przez trzy kadencje, czyli 12 lat, pełniłem funkcję prezesa Dolnośląskiego Związku Lekkiej Atletyki, wcześniej działając tam również w komisji rewizyjnej.

Byłem także zaangażowany w działalność ludowych zespołów sportowych - jednocześnie prezesowałem Dolnośląskiemu Związkowi Lekkiej Atletyki i Radzie Wojewódzkiej LZS. Był to trudny czas finansowo, ale dzięki współpracy z zarządami obu organizacji udało się je ustabilizować. W ostatniej kadencji, jako prezes DZLA, przy wsparciu Urzędu Marszałkowskiego, miasta Wrocławia i klubu Śląza Wrocław, powstała nowoczesna hala lekkoatletyczna - trzecia tego typu w Polsce.

Jak to wszystko pogodzić? Było trudno. Lekkoatletyka wymagała ode mnie samodyscypliny, której na co dzień mi brakuje. Przez długi czas udawało się łączyć obowiązki, ale w końcu zabrakło czasu, siły, a czasem cierpliwości.

Sport często uczy więcej niż niejeden podręcznik do zarządzania. Które wartości wyniesione z lekkiej atletyki najbardziej przydały się Panu w pracy samorządowej - i czy były momenty, gdy to właśnie sport „uratował” Pana przed wypaleniem?

Kategoria: Wywiady

Opublikowano: środa, 18, luty 2026 09:02

Joanna Gryboś-Chechelska

Odłony: 1562

Nigdy nie czułem wypalenia, ponieważ miałem szczęście robić rzeczy, które sprawiały mi radość - niezależnie od korzyści finansowych. W lekkoatletyce ich nie było, a często trzeba było dokładać z własnej kieszeni. Sport nauczył mnie systematyczności. W pracy z dziećmi i młodzieżą brak konsekwencji szybko przekreśla autorytet. Treningi, obozy, wyjazdy, zawody - to wszystko wymagało organizacji i zaangażowania. W autobusach mobilizowaliśmy dzieci do nauki języka angielskiego, pomagaliśmy sobie wzajemnie w nauce. Sport dał mi poczucie spełnienia i możliwość pomagania innym, szczególnie młodym ludziom.

Był Pan pierwszym trenerem Pawła Fajdka?

Nie - i tu małe sprostowanie. Nigdy nie byłem trenerem Pawła. Jego trenerką była Jolanta Kumor. Ja pełniłem raczej rolę mentora lub opiekuna - szczególnie w sferze rodzinnej i organizacyjnej. Byłem kimś w rodzaju strażnika z boku - reagowałem w trudnych momentach, mobilizowałem, wspierałem. Jak on sam ocenia moją rolę - o to należałoby zapytać jego.

Czy pamięta Pan moment, gdy pomyślał, że ten młody zawodnik może zejść bardzo daleko?

Nie pamiętam. Takich chłopców było dwunastu. Wielu się wykruszyło, a on wytrzymał - zdrowotnie, psychicznie i sportowo.

W 2009 roku był Pan jednym z inicjatorów Powiatowych Mistrzostw w Brydżu Sportowym - pierwszych takich zawodów w Polsce. Jak dziś ocenia Pan ich znaczenie?

Zainspirował mnie Rudolf Borusiewicz. Kiedy zaproponował organizację mistrzostw, trzeba było po prostu znaleźć ludzi do gry. W pierwszej edycji z naszego powiatu uczestniczyły cztery osoby. Dziś jest nas już osiem, a może nawet dziesięć.

To pokazuje, że brydż - choć niszowy - potrafi integrować środowisko. Wymaga spotkania, rozmowy, współpracy. W pewnym sensie buduje wspólnotę.

Sam jestem raczej słabym brydżystą - częściej „dokładam karty”, niż gram. W turniejach uczestniczą naprawdę dobrzy zawodnicy, a ja traktuję tę grę bardziej jako formę aktywności towarzyskiej i intelektualnej niż sportowej rywalizacji.

Co fascynuje Pana w brydżu? Czy widzi Pan podobieństwa między nim a zarządzaniem?

Zdecydowanie tak. Brydż - podobnie jak sport czy działalność publiczna - opiera się na podejmowaniu decyzji w warunkach niepewności. Trzeba działać rozsądnie i stosunkowo szybko, opierając się na ograniczonej wiedzy.

To gra strategiczna, ale jednocześnie oparta na współpracy. Wymaga analizy, przewidywania i zaufania do partnera. Pod tym względem przypomina zarządzanie - gdzie równie ważne jak dane są relacje.

Jak zachęciłby Pan młodych ludzi do gry w brydża?

To nie jest łatwe. Każda gra strategiczna wymaga cierpliwości. Sam zaczynałem od szachów - mój ojciec grał bardzo dobrze i próbował mnie uczyć. Ostatecznie osiągnąłem poziom drugiej kategorii i grałem jako junior w trzeciej lidze. Brydża nauczyłem się w wieku 13 lat, ale grałem z przerwami. To gra, która dojrzewa razem z człowiekiem. Nie daje natychmiastowej satysfakcji - wymaga czasu i skupienia. Do dziś gram bardziej dla przyjemności niż dla wyniku.

Kategoria: Wywiady

Opublikowano: środa, 18, luty 2026 09:02

Joanna Gryboś-Chechelska

Odsłony: 1562

Czy brydż ma przyszłość?

Coraz częściej pojawiają się opinie, że gry takie jak szachy czy go zostały już w dużej mierze „rozpracowane” przez sztuczną inteligencję. Brydż jest inny. Opiera się na niepełnej informacji - nie wiemy, jak rozłożone są karty. Dochodzi do tego element blefu oraz czynnik ludzki. To sprawia, że pozostaje przestrzeń dla intuicji i doświadczenia. Być może kiedyś duet człowiek–maszyna będzie najlepszy - człowiek wniesie rozumienie sytuacji i relacji, maszyna probabilistykę.

A czynnik zespołowy?

Decydujący. Kluczowe są porozumienie, zrozumienie i współpraca.

Obecnie zainaugurowana została kolejna już edycja [Mistrzostw Polski Powiatów 2026 w brydżu sportowym](#). Czy planujecie Państwo wystawić swoją drużynę?

Cieszymy się, że ta inicjatywa rozkwitła i realizowana jest jej kolejna już edycja. My zrobimy co w naszej mocy, aby reprezentacja z naszego powiatu zaistniała w tych mistrzostwach.

Dziękuję za rozmowę i życzę kolejnych sukcesów.